

Teatr „non”

Nie jest to rzecz częsta, by spektakl pokazywał z jak misternie opracowanych elementów składa się dzieło sceniczne. Andrzej Szczytko ma na przykład wielki szacunek do tekstu, w tym do interpunkcji. Niemal każdy przecinek postawiony przez Głowackiego jest w ustach aktorów wyraźny jak średniówka w wierszu sylabotonicznym i poprzedzający ją akcent – tekst dramatu zyskuje więc wartości zgoła poetyckie. Każdy znak zapytania postawiony przez autora jest z kolei jak szczyt dramatu, na który wiedzie pnąca się stromo droga-zdanie, dramatu, który za chwilę wedrze się do serc widzów. Niemal edukacyjny walor „Antygony...” dotyczy zaś ruchu scenicznego, na który składają się dziesiątki drobnych działań: aktorzy siedzą na ławce, wstają z niej, chodzą, biegną gdzieś, ale wracają, siadają, kładą się. Za każdym razem robią to bardzo rzetelnie i świadomie. I bardzo prawdziwie. Czy nie powstaje z tego metafora naszej doczesności – jak w „Czekając na Godota”, do którego Głowacki nawiązywał: skąd pochodzimy, dokąd zmierzamy, dlaczego siedzimy tu, gdzie siedzimy? A pytań jest więcej. Na przykład: zapewne zorientowaliście się państwo, że coś w tych kilku zdaniach nie gra i zastanawiacie się, o co u licha chodzi. Otóż Janusz Głowacki (zmarł na krótko przed zapowiadzianym przyjazdem na łódzką premierę, gdzie miał świętować 80. urodziny) pod koniec lat sześćdziesiątych pisywał w „Kulturze” felietony, w których przesadnie wychwalał literacką kiepskość – metoda była obezwładniająca, wielu wierzyło w spiętrzone pochlebstwa. Pozwoliłem więc sobie na niewinny żart, językową wprawkę, i spróbowałem podobnie opisać mało udany spektakl – nie tragiczny, ale rozczarowujący. Reżyser nie powinien mieć mi tego za złe. Łączy nas atencja dla autora „Antygony...” tylko pracujemy w różnych rzemiosłach. A na spektakl czekałem z ciekawością. Interesowało mnie jaką jakością Andrzej Szczytko dołoży do układanki, którą staje się pod nową dyrekcją Teatr Nowy. Dalsza część tekstu będzie już na poważnie.

Non razy kilka

Szczytko zapowiadał, że sięgnie z aktorami po styl gry *non-acting*, to znaczy taki, w którym aktorzy nie tyle grają – przeistaczają się w postaci, co raczej użyczają im swoich cech osobowościowych, powierzchowności. Ale właśnie sposób, w jaki aktorzy pracują tekstem (zwłaszcza Piotr Seweryński jako Sasza i Krzysztof Pyziak jako Pchełka) jest u swej podstawy maksymalnie uteatralizowany. Oni nie rozmawiają, ale deklamują, interpunkcja jest właśnie wzorowa, każde zdanie ma dopracowaną kadencję i akcenty, i jest doskonale słyszalne – jakby wydestylowano je w teatralnym laboratorium. Dlatego zamiast oczekiwanego autentyzmu efektem jest sceniczna sztuczność. A pogłębia ją praca aktorów w przestrzeni sceny. Z racji ławki ustawionej na wprost widzów, na której posiadają, najczęściej grają oni twarzą do widza, czym eksponują istnienie niewidzialnej czwartej ściany. Swoje zawinił chyba sam charakter scenografii (wyraźnie nawiązuje ona, zgodnie z intencjami autora, właśnie do „Czekając na Godota” Becketta): centralnie ustawione suche drzewo parkowe, a przed nim ławka tworzą nie tyle rodzaj osi, wokół której poruszają się aktorzy, ile wyznaczają linię kolejnej niewidzialnej ściany, do której aktorzy przylegają plecami. W ogóle ciekawym problemem jest typ scenografii, jaki wzmacniałby styl *non-acting*. Ławkę i wózek, w którym Anita (Jolanta Jackowska) gromadzi swoje „skarby”, wykonano tutaj jako sześciany z metalowej siatki, do ławki chowane są niektóre rekwizyty. Są więc te obiekty „sobą”, ale też czymś więcej, mają rolę poszerzonego znaku. I raczej z założonym stylem gry gryzają się. *Acting* jest jak tutaj obecny także z braku swoistej nonszalancji, szczególnego luzu w traktowaniu postaci – ale może aktorzy nabiorą go wraz z eksploatacją przedstawienia.

Sama obecność aktorów na scenie sprowadza się natomiast do owego siedzą-chodzą-siedzą (z naciskiem na siedzą), czyli do „uwiązania” przy ławce, jakby bez niej nie czuli się na scenie (i w

rolach) bezpiecznie, czyli właśnie swobodnie. Nastąpiła jakaś wyrwa między postaciami z tekstu „Antygony...” a postaciami na scenie – nie są równie „pełnowartościowe”, jakby zabrakło im napędu: podejmowanej treści, kierunku interpretacji. Jakby Andrzej Szczytko poszedł w tym *non-acting* o krok dalej – bo jego spektakl mieści się w grupie realizacji, które roboczo można nazwać, *non-directing*. Taki teatr powstaje, gdy reżyser przekonany jest, że dramatopisarz załatwi za niego całą robotę. Że wystarczy, by tekst wybrzmiał na scenie – i nie trzeba zastanawiać się co on znaczy w dzisiejszej rzeczywistości, czy wchodzi z nią w kontakt, czy rzeczywistość nie dezawuuje niektórych treści i co z tym zrobić? Jakby Wielcy Mistrzowie (przed premierą Szczytko w jednym zdaniu wymieniał Szekspira, Słowackiego i Głowackiego jako tych, w których teksty ingerowanie uważa za niewłaściwe) nie byli po to, by ich na nowo interpretować – oni już wszystko, co mieli do powiedzenia wypowiedzieli. Wystarczy to powtórzyć. Przejmujące pytania będą przejmujące. Ludzkie dramaty będą dramatyczne. Tragifarsa życia będzie bawić i porażać smutkiem. W centrum tej „Antygony...” jest Literatura, nie aktor, nie teatr nawet. W tym tradycjonalistycznym myśleniu Szczytko jest tak radykalny, że nawet niemal nie zmienia oświetlenia na środku sceny – w końcu nie jesteśmy w teatrze (i wcale nie siedzimy w kilkunastu rzędach, nie nachylamy się nad aktorami, nie wsluchujemy w ich słowa... zresztą, przecież to nie ich słowa, to Autor mówi). Ale skoro nie jesteśmy w teatrze, a aktorzy nie grają, to kim jest człowiek, który parę razy pojawia się w głębi sceny i na saksofonie gra melancholijnie „Strangers in the night” Sinatry? Dlaczego wychodzi spomiędzy słupów, na których wykonano kolaż neonów, z którymi tak kojarzy się nowojorska ulica? Za dużo tych niekonsekwencji. Ale chodzi też o wybór metody – błędnej, bo nieatrakcyjnej, bo nie wydobywającej z tekstu nowych tonów. Zwłaszcza, gdy tekst trąci duchem czasu, w którym powstał, bo na przykład mit „american dream” wpisany jest w nim w obraz kapitalizmu i demokracji, a przecież dziś wiemy, że pierwsze z nich nie jest takie cudowne, a drugie tak silne, skoro pozwala na rozwój sił wobec siebie destrukcyjnych. Czy można tak dziś grać Głowackiego jak gra Andrzej Szczytko? Można – ale będziemy czuli się właśnie jak w latach dziewięćdziesiątych, także pod względem estetyki.

Co powie Saszka?

Z aktorów w pełni broni się jedynie Piotr Seweryński, którego Sasza potraktowany jest na poważnie, jako postać został pogłębiony, ale też jest to rola jednak dość daleka od stylu *non-acting*, skoro aktora trudno rozpoznać – i nie tylko za sprawą łachmanów, w jakie Sasza jest ubrany. Powolne odsłanianie jest jego biografia, dotknięta piętnem totalitarnej ojczyzny, ale też budowana na duchowej niezłomności (Sasza Seweryńskiego jest zdecydowanie mentorem dla Pchełki i Anity, nośnikiem wartości), dla której przeciwwagą jest skrywana ułomność – nałóg, któremu Sasza oddaje się z zapamiętaniem, co dzięki dobremu prowadzeniu tej postaci jest dla widza dużym zaskoczeniem. Dzięki temu Szczytko udało się też klamra spektaklu – jest nią: maligna Saszy. To nałóg prowadzi do nieszczęścia (Anita znów zostaje zgwałcona – reżyser pokazuje to każąc aktorce wirować w głębi sceny z bielizną w ręku, co jest rozwiązaniem takim sobie), sprawia, że historia trójki kloszardów zapętla się i w ogóle cała rzeczywistość dotychczasowych zdarzeń jest podważona.

Równie ciekawie nie zostały poprowadzone pozostałe postaci. Krzysztof Pyziak gra na ogół na jednym poziomie emocjonalnym (z drobnymi wahnięciami), ograniczając się do ochryplego wykrzykiwania tekstu i energicznych gestów, choć chwilami pokazuje, że stać go i na humor, i na pewną finezję. Ostatnie sezony były dobre dla tego aktora, szkoda, że na relacje z Saszą i szaleństwo Pchełki (każda z postaci Głowackiego ma zresztą swojego „bzika”) nie znalazł ciekawszego pomysłu. A przecież jest jeszcze scena rozmowy obu „homelessów” o totalitarnej Rosji – nie dla samej rozmowy prowadzona. Również Anita Jolanty Jackowskiej zdaje się zbyt jednowymiarowa, a jej obłęd, przez który zatracą różnicę między minionym a obecnym, projekcją a rzeczywistością, nie powinien opierać się tylko na radosnym gadulstwie i bieganinie. Kierunek jest dobry, Anita bywa infantylna jak mała dziewczynka, ale to, co przez nią wyparte nie przebija się na

scenę. Radosne podawanie bolesnej przeszłości nie pozwala odsłonić stopnia jej choroby psychicznej, gdy dochodzimy do sceny pogrzebu Johna. Pyziak i Jackowska są być można najbliższej idei *non-acting*, ale oglądając ich sądzimy, że po prostu grają „na pół gwizdka”, nie są dość swobodni.

Czym jest demokracja

Do ukraińskiej „Antygony...” Szczytki sprzed parku lat Głowacki miał „stosunek liryczny”. Nie wiem jak pisarz, któremu nagła śmierć nie pozwoliła świętować urodzin podczas festiwalu Łódź Czterech Kultur, zareagowałyby na tę premierę – i nawet mnie to nie interesuje. Wiem, że jednak festiwal, jak choroba, nie wybiera – „Antygona...” została „Nowemu” jako produkcja festiwalowa niejako podarowana, ale trudno widzieć ją jako część nowej linii repertuarowej. Bez interpretacji, bez reżyserii, bez inscenizacji – tego tu dotąd nie było i trudno wierzyć, że jest zamysłem dyrekcji. Lepsi, gorsi, ale byli tu reżyserzy, którzy mieli ambicję stworzenia scenicznego świata, lepiej lub gorzej, ale posługiwali się mechaniką sceny. Odrzucenie technologii sceny jest oczywiście możliwe, taki teatr-nie teatr pokazał rok temu Peter Brook na Festiwalu „Nowa Klasyka Europy” – myślę o „Mahabharacie” Petera Brooka. Gdy zaś pyta mnie ktoś czy spektakl Andrzeja Szczytki jest „zaczepty” wobec rzeczywistości, czy jest spektaklem politycznym, odpowiadam, że nieznacznie i tylko za sprawą postaci Policjanta (Dariusz Kowalski) – gdy pojawia się pierwszy raz i zagaduje publiczność o to, czym jest demokracja (wyjaśnia, że równością wobec prawa), i w finale, gdy policja robi nalot na park, eksmituje bezdomnych, a teren otacza ogrodzeniem: prawo pisane (demokracji, której wysłannikiem jest Policjant) nie jest dość ludzkie, dość sprawiedliwe dla tych ze społecznych nizin. Niby taki mamy ostatnio klimat, że „prosty człowiek” jest elementem większej gry, ale sfera prawa i sfera ludzkiego egzystencjalnego dramatu zawsze pozostawały ze sobą w napięciu.

Spektakl, co widać po scenografii (metalowe filary z neonami), został pomyślany na przestrzeń Małej Sceny „Nowego” i tak wyreżyserowany. Gdy zacznie być grany tam, gdzie widownia nie wznosi się tak stromo i wysoko nad sceną, gdzie kontakt z aktorami będzie bliższy, gdzie Policjant będzie (najpewniej) wchodził przez drzwi i szedł wzdłuż boku widowni, i może zniknął za drzwiami w bocznej ścianie sceny – zamiast trzaskać wrotami do Dużej Sali i przeciskać się przed pierwszym rzędem, zapewne niektóre z mankamentów znikną. Niektóre.

--

„Antygona w Nowym Jorku” - Janusz Głowacki, reżyseria: Andrzej Szczytko, scenografia i kostiumy: Tomasz Ryszczyński, opracowanie muzyczne: Jakub Raczyński, występują: Jolanta Jackowska, Wojciech Droszczyński, Dariusz Kowalski, Krzysztof Pyziak, Piotr Seweryński, premiera: 13 września 2017 r., Duża Sala, w ramach festiwalu Łódź Czterech Kultur